

KOLONIE LETNIE ROŚCISZÓW 1950

Dzień zaczynał się pieśnią na ustach *Nie zna granic ni kordonów*, zamiast *kordonów* starsze chłopaki krzyčili *kondonów*, po czym przez dziedziniec biegł kulawy druh drużynowy kulawego ZHP z rozjątrzonymi oczyma, z notesem i ołówkiem:

„który to, który to” – grzmiał szeptem, ale starsze chłopaki wbijali wzrok w ziemię – „ty, ty, ty i ty, nie pójdziecie do kina”. I była to kara straszna, nieporównywalna z niczym, chociaż najstarsi byli otrzaskani ze śmiercią w jej niezliczonych postaciach.

Dzidek Bielous (zapamiętałem imię i nazwisko!) pokazywał – jak rybak pokazuje długość złowionej ryby – wielkość swoich rodziców spalonych żywcem w chałupie, o takie, mówił, kadłubki, nie drgnął mu jeden mięsień na twarzy, miał

to jedno w życiu: śmierć swoich rodziców i opowiadał o tym rzeczowo i dziwnie spokojnie, jakby mówił o naprawie płotu; trochę starszy ode mnie, o dwa, trzy lata, marszczył czoło jak dorosły, chodził z rękami w kieszeniach krótkich spodni

i niczym się nie różnił od innych starszych chłopaków, bo wszyscy byli otrzaskani ze śmiercią i potrafili o niej mówić rzeczowo, z troską o detal, kolor i obraz, przy tym dziwnie bezstronni, niektórzy mieli cudzoziemskie imiona:

Szloma i Wołodia, wśród dziewcząt były Rifka i Asja; Rifka jednej nocy zerwała się z krzykiem, jakby zdzierano z niej skórę i biegała po dziedzińcu, szarpiąc swoje ciało, jakby to ona sama zdierała z siebie własną skórę.

Rano kierownik kolonii pan Krumholz siedział na ławce przed myśliwskim pałacem, a w jego ramionach spała Rifka. Widzę siebie, jak stoję dziesięcioletni przed tą oddychającą rzeźbą i śledzę jedną łzę pana kierownika, która spływa

z jego prawego oka i stacza się powoli jak głaz poderwany przez ruchome śniegi i zatrzymuje się na urwisku brody, nie wie, jaka jest jej dalsza droga: czy ma spaść na ostre kolano Rifki, czy odfrunąć w stronę Dzierżoniowa, gdzie

w kinie Wołga wyświetlano film *Świat się śmieje*, a może *Wesołyje rejbata*? Wołodia przysięgał, że taki jest tytuł, bo oglądał go w kinie w Ferganie w nagrodę za dobrą pracę! I popatrzył na nas z wysoka jak kawaler złotej gwiazdy.

„Ty, ty, ty i ty nie pójdziecie do kina”. Ukarął sprawiedliwie pierwszych z brzegu, licząc od lewej, kulawy drużyny. Dzień zaczynał się pieśnią na ustach, a po pieśni pakowaliśmy do ust plastry szynki, dzieci wojny, martwe, choć nie zabite.